

Zygmunt Rojecki "Ster"

## © ARCHIWUM WOSKOWICZ

W czasie okupacji wraz z kolegami zajmowaliśmy się szukaniem broni po lasach bo pełno tego było po ucieczce Sowietów w 1941 r. Na i któregoś razu znaleźliśmy skład amunicji karabinowej. Było tego ze 20-30 skrzyń. Na i w nocy poszliśmy do lasu i przewiezliśmy to w inne miejsce. Ładnie zamaskowaliśmy. Na i na drugi dzień podsłuchałem rozmowę starszych kolegów: To niczyja robota tylko tych gówniarzy. - A to oni schowali i zorientowali się, że to im gdzieś zginęło. A myśmy oczywiście nie wiedzieli, czyja to jest. Myśleliśmy, że może to Sowietci schowali jak wycofywali się. Wtedy starsi doszli do wniosku, że trzeba nas wciągnąć do organizacji, bo w ten tylko sposób możemy im pomóc w wyszukiwaniu broni. I w ten sposób zostaliśmy zaprzysiężeni zimą 1946 r.

Zostaliśmy członkami AK. Placówka Choroszcz "Jaraw". Dowódcą jej był Antoni Lebidzieński "Tom". Zaprzysięgał nas Aleksander Markowski "Wir" z Dzikich, stryjeczny brat "Lecha". On już wtedy był po wojsku, dla nas starszy pan.

W 1944 r. zmobilizowani zostaliśmy do akcji "Burza". Dowódcą oddziału był "Grom" Jan Dziejma. Oddział stał wtedy na bagnach w rejonie Kruszewa, Paniek, na grondzie. Liczył około 50-ciu osób, z tym, że był podzielony na kilka grup. W ten sposób łatwiej było o wyżywienie. Razem ze mną byli wtedy ~~xxix~~ moi koledzy m.in.: "Lot" i "Lech". Gdy dołączyliśmy do oddziału gdzieś w maju czy czerwcu. Miałem wtedy 16 lat musiałem więc uzyskać na pójście do lasu zgodę rodziców, no bo jak to? Koledzy idą a ja nie. Na szczęście mój ojciec też był w konspiracji i skontaktowali się z nim. Ojciec był zawodowym wojskowym w 6 Dywizji Artylerii Konnej w Stanisławowie. Walcząc w tej właśnie jednostce w 1920 r. pod Radzichowem odznaczył się w boju i został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Miał wtedy stopień bombier

diera.

Gdy byliśmy w tym oddziale to spaliśmy pod gołym niebem. Nie mieliśmy żadnych namiotów. Czułki zawsze wystawione były daleko. Gdy tylko kilku Niemców odłączyło się od kolumny to zaraz atakowaliśmy ich. Oczywiście z tymi co nie poddawali się to była sprawa prosta, a tych co się poddawali to braliśmy do niewoli, tak, że musieliśmy zrobić taki mini obóz jeniecki. Właśnie na tym grondzie.

Gdy front już był blisko to "Grom" oddział rozwiązał i zostało nas tylko 7-miu w tym "Grom". Naszym zadaniem było właśnie przekazanie tych jeńców Armii Czerwonej. Oddział został rozpuszczony do domów, bo chyba dowództwo nasze zdawało sobie sprawę z tego co to może być. Jak potem się okazało, to właśnie w ten sposób dowództwo chciało zorientować się, jaka będzie reakcja Sowieców. W tej naszej grupce był wtedy młody chłopiec z Białegostoku: "Szczapa", dwóch Markowskich - Zygmunta i Mietek, Trypuz Mietek "Lot" no i ja i dowódca.

Kiedyś chłopcy z Paniek zrobili zagrodę z drutu dla tych Niemców, bo inaczej przecież by nam puciekali. 7-miu tych jeńców było. Pamiętam cięlotko było. Niemcy porozbierani w koszulach tylko ale oczywiście w mundurach, które wisiały na krzakach. Rozmawiają po niemiecku. Ja wtedy spałem. Na warcie stał "Lot". To nie było wtedy na grondzie tylko na takich bagnach, że trzeba było z kępy na kępę skakać, żeby przejść, a ten obóz założyliśmy na takiej wyszypce. Wilgotno i komary. Wszystkiego było. I "Lot" zauważył, że jakieś 10-15 m od tej zagrody przeszedł z bronią gotową do strzaku Niemiec. Jeden na drugiego patrzył i Niemiec poszedł dalej. Może pomyślał, że "Lot" to też Niemiec bo te rozmowy słyszał było. "Lot" oczywiście wtedy nas natychmiast obudził. Poszliśmy szybko w kierunku w którym odszedł ten

Niemiec. Pobiegliśmy. Spotkaliśmy jakiegoś człowieka i pytamy się go czy nie widział Niemców. Uciekajcie stąd - odpowiedział po cichu przestraszony - tu cła kompania jest. - A nas przecież garstka tylko była to by nas roznieśli.

Wtedy nadszedł "Gron" i zabrał nas z tego miejsca i zaprowadził na nowe, nieznanne nam dotychczas. <sup>a</sup> W lesie był wykopany, zamaskowany bunkier, Bardzo ładny. Wyszalowany. Jak mieszkanie. Radio było. Niemców wpakowaliśmy do tego bunkra. Na zewnątrz, na straży został "Szczała" tylko z krótką bronią, w koszuli bo gorąco było a nam "Gron" kazał rozłożyć się jakieś 100 m dalej. W pewnym momencie usłyszeliśmy strzał. Poderwali się na równe nogi i pobiegliśmy w tym kierunku. Patrzymy a "Szczała" bije się z jakimś Niemcem. Trzyma za jego karabin i każdy ciągnie w swoją stronę. "Szczała" nie miał żadnych szans bo to był przecież młody, szczupły chłopak a Niemiec to był potężny szwabisko. Zgniółł by go jak nic, tylko, że myśmy nadlecieli. Gdy zobaczył nas z karabinami wtedy podniósł ręce do góry. W pewnym momencie jednak odwrócił się i zaczął uciekać, a "Szczała" zamiast strzelać do niego to rzucił się za nim w pogoń i zasłonił nam linię strzału, tak, że nie mogliśmy strzelać do tego Niemca, no ale musieliśmy to zrobić, bo jakby nam uciekł to mógłby nam sprowadzić jakiś oddział na głowę. Oddaliśmy kilka strzałów i Niemiec upadł. Ci Niemcy w bunkrze zrobili zaraz szumek. Nasz chłopak który był razem z nimi to siedział na drabince z odbezpieczonym granatem w ręce bo bał się, że mogą go ściągnąć. Ale wszystko skończyło się dobrze.

Do momentu rozwiązania oddziału to byłem w nim jakieś dwa miesiące. Raz zaatakowaliśmy grupę Niemców, którzy jechali szosą do Kruszewa. To wtedy była głucha szosa, bo most w Kruszewie był zniszczony. Wojska wtedy w zasadzie nie przejeżdżały. Gł cza-

su do czasu tylko jakieś małe grupy z którymi powalczyć można było.

Raz zrobiliśmy zasadzkę na taką grupę 5-ciu Niemców. Tak się przygotowaliśmy, żeby w razie czego żaden nie uszedł z życiem, bo przecież nie tylko nam ale i ludności wtedy groziłyby poważne konsekwencje. Początkowo ~~wiekszą~~ jechali na furmance, ale że koń im prawie padł to porzucili ją i szli pieszo skrajem lasu. To byli żołnierze wycofujący się z frontu. Ktoś z naszych wypatrzył ich i powiadomił nas. A to było jeszcze przed ~~rozwiązaniem~~ rozwiązaniem oddziału, tak, że było nas z 50-ciu. Otoczyliśmy ich dokładnie ze wszystkich stron, tak że wiedzieli, że żadnych szans nie mają i poddali się bez jednego wystrzału.

Nasz oddział był podzielony chyba na trzy grupy. Jedną z nich jak pamiętam dowodził "Broźny". Ja byłem w grupie "Groma", która liczyła około 15-tu ludzi. Poza tym oczywiście "Grom" był dowódcą całego oddziału. Wszyscy z naszej grupy to mieli czapki Związku "Strzeleckiego", który działał przed wojną. No i opaski mieliśmy biało-czerwone.

Początkowo to uzbrojeni byliśmy słabo, bo mieliśmy tylko te ruskie kb a potem jak rozbroiliśmy tych Niemców to już byliśmy uzbrojeni elegancko: bagnety, ładownice, "Mauzery". Mieliśmy też jeden LMG niemiecki. Był w naszej grupie. Z pozostałymi grupami spotykaliśmy się bardzo <sup>a</sup> rzadko. Przeważnie w nocy, w czasie przemarszów. Odszoki ~~wiekszą~~ robiliśmy małe, bo przecież tylko w naszym rejonie poruszaliśmy się. Tylko w nocy odbywaliśmy marsze. Z kwater u gospodarzy nie korzystaliśmy. Z tego też powodu m.in. byliśmy stale głodni, bo żywność nie docierała do nas na czas. Byliśmy młodzi a młody to zawsze głodny. Jadło się przeważnie ogórki, mleko, chleb, słonina. Czasem zupa.

Rano i wieczorem odmawialiśmy modlitwę.

Front się zbliżał. My siedzieliśmy w lesie z bronią. Baliśmy się, że Sowieci nas wystrzelają. W końcu, gdy któregoś razu zakwaterowaliśmy się na ~~na kółkach~~ w lesie niedaleko kolonii. I widzimy, że na tej kolonii są już Ruscy. Więc "Grom" mówi do nas: Wy tu poczekaście - wziął jednego chłopaka i poszli do nich. To było gdzieś w rejonie Śliwna.

To było gdzieś o 8-9 rano. Poszli i przepadli. Minęła godzina, dwie. Południe minęło, już i wieczór się zbliża a ich nadal nie ma. Nie wiemy co robić bo "Grom" nic nam nie powiedział, bo myślał, że zaraz wróci. Zbliża się noc. Zaczęliśmy się bać, bo ~~na dzień~~ dzień to dzień ale w nocy to przyjdą i nas powstrzelają. Porozmawialiśmy: Co by tu robić? - Idziemy do Ruskich zdecydowaliśmy, bo cóż nam innego zostało. Nie baliśmy się tego, bo nie byliśmy za bardzo uświadomieni co nam grozi. Tych Niemców wszystkich wyprowadziliśmy z tego bunkra. Jeden z nas idzie z przodu, Niemcy za nim, reszta z tyłu i idziemy.

Zaszliśmy na tę kolonię a Ruscy mówią: Ooo partizany. Nasi zwiadowcy już od kilku dni języka nie mogą złapać, oj dobrze, że przyprowadziliście. - To już nieaktualny język - mówiny do nich- bo oni u nas już ze dwa tygodnie byli. No i od razu posadzili tych Niemców, przyszło trzech sowieckich oficerów i w pierwszym rzędzie co zrobili to przetrzepali im plecaki, a Niemcy mieli je wypchane, bo my nic im nie zabraliśmy. Nawet brzytwy mieli. Oczywiście to był błąd, bo przecież mogli nas w nocy porznać. Dość, że ruscy z miejsca ich "oczyścili", a Niemcy mieli dużo papierosów.

Jeden z tych oficerów dał nam za przewodnika zwiadowcę, żeby zaprowadził nas do sztabu dywizji, który kwaterował w Kościukach. No i poszliśmy za nim z tymi Niemcami przez pola. Szedł prosto jak czołg, żadnych ścieżek nie uznawał. Gdy doszliśmy do sztabu

w Kościukach to już była ciemna noc. Wszedł do nas pułkownik i mówi: Da, był tu wasz komandir. Pojechał do sztabu frontu. Wy tu poczekacie.

Spaliśmy w stodole. Przez pierwszą noc to byli z nami jeszcze ci Niemcy. Dopiero na drugi dzień przyszedł do nas oficer i zaprowadził do kuchni oficerskiej przy sztabie. Tam bardzo dobrze karmili. Mieli te konserwy-turszonki.

Na trzeci dzień wezwali nas do sztabu i pułkownik mówi: Nam oczęń nieprzyjemno, no prikaz wam orużije oddać - i rozbroili nas. Bo myśmy oczywiście do sztabu poszliśmy z bronią a wyszliśmy bez. A dzień wcześniej poszliśmy do nich, żeby wydali nam jakiś dokument stwierdzający, że przekazaliśmy im jeńców. No ładno - odpowiedzieli i podali nam wszystkie nasze dane. Dostaliśmy ten dokument i kazali nam iść odpoczywać.

Po tych trzech dniach to tych Ruskich już znaleźliśmy bo to przecież byli tacy jak my młodzi chłopcy. No i przyszedł do nas taki jeden - miał może 13 lat - i mówi: Riebiata, płochi. On was ochraniaje - pokazuje na Mongoła, który chodzi przede naszą stodołą i jakby nas pilnował. Zrobiło nam się niewyraźnie. Porozmawialiśmy ze sobą co by tu robić. Postanowiliśmy wiać. Stodoła była nowa, podwaliny na kamieniach. Wartownik stał przed drzwiami, więc wygrzebaliśmy dziurę pod tym fundamentem z drugiej strony i w nocy poszliśmy.

Przyszliśmy do domów. Ja mieszkałem wtedy w Dzikich u Mikutowiczach, w domu letniskowym. Jego chłopcy byli jeszcze w Niemczech na robotach. Pomagałem mu włócić. No i zimą zajeżdżają sanie z naszymi trzema milicjantami. Był z nimi jeszcze Mongoł x w takiej spiczastej czapce i czerwoną gwiazdę i pytają x się Mikutowicza: Sdzie gdzie Rojecki żywiot? - a mnie serce od razu puk, puk. Dziadek jednak zorientował się od razu o co chodzi i

pokazał im na las: O, tam dalej. - Oni pojechali a ja od razu w nogi. Pobiegłem najpierw do Dzikich, żeby ostrzec kolegów, bo przecież z nimi mogło być to samo. Nie wiedziałem zresztą z którego kierunku przyjechali ci milicjanci, ale przyjechali od strony Żółtek. Od tej chwili zaczęliśmy się ukrywać.

W styczniu została rozwiązana AK i cała nasza kompania przeszła do NZW. Nowej przysięgi nie składaliśmy. Niedługo potem moi koledzy nawiązali kontakt z "Gryfem". Spotkałem go kiedyś jak przejeżdżał przez Dzikie. Mówił wtedy, że nie mamy co z sobą zrobić.

Zresztą w tym czasie ludzie jeszcze specjalnie się nie bali. Nie było dużo kapusiów, którzy donosiliby na UB. W rejonie Dzikich w czasie okupacji to moc ludzi się ukrywało. Głównie z Białogostoku i to z wyższym wykształceniem. Pamiętam któregoś razu było wesele w Dzikich. Był na nim sekretarz ~~xxxxxxxxxxxx~~ arbeitsratu z Choroszcy Affe. No i jeden z weselników podpisał sobie. Poszedł za stodołę, wyciągnął rewolwer i, przyszedł z powrotem i mówi: Tego szwaba to pierwszego zastrzelę. No ludzie od razu skoczyli do niego i zabrali mu ten pistolet. Nie wiem jak gospodarze załatwili z tym szwabem coś, że nie sypnął nikogo.

W ~~xxxxxxxxxx~~ 1945 r. brałem udział w rozbiciu posterunku w Tykocinie. Było nas na tej akcji ze 30-tu. Przyjechaliśmy do miasteczka pod wieczór, żeby potem mieć czas na odskok. Jechaliśmy wtedy samochodem, ciężarówką, ale do Tykocina nie dojechaliśmy bo kilka kilometrów przed miasteczkiem samochód się zepsuł. Coś z silnikiem było.

Prawie cały rok 45 ukrywałem się po stodołach. Moi koledzy zaś byli u "Stalowego" i później trafili do "Bukrego" i któregoś razu wpadli do mnie do domu i mówią: Co ty tu będziesz siedział? Chodź z nami. W kupie weselej będzie razem. W tym czasie jak o-

ni byli u "Stalowego" to ja pojechałem do Wrocławia, do znajomych, ale długo tam nie wytrzymałem. Jakoś ciągnęło mnie w swoje strony. Wrocław to były same ruiny i nie było co tam robić.

X Do w "Burego" dołączyłem chyba w Zajkach. To był chyba październik. Późna jesień. Nie pamiętam dokładnie. Przydzielono mnie do II plutonu III drużyna. Pluton ppor. "Bitnego", w drużyna "Modrzewia". Początkowo dowódcą drużyny był ktoś inny, ale nie przypominam sobie. Może "Zajac"? Może u "Leszka" byłem na początku. Nie pamiętam dokładnie bo czasami oddział mieszali. Przerzucali chłopaków z jednej drużyny do drugiej.

W tym czasie jeszcze niewielu nas było, ale zimą 1946 r. to już oddział był potężny. Ale jak dołączyłem to też już oddział był duży. Były przecież już trzy plutony. "Modrzew" to zęby miał wszystkie metalowe. Początkowo to "Burego" nie było w oddziale. Wtedy to był oddział "Rekina". On dowodził.

W nocy się szło a w dzień albo warta albo spanie, albo ćwiczenia, bo nam nie dali odpocząć. Bez przerwy zajęcia. No a w nocy nieraz trzeba było zrobić 50 i więcej kilometrów. Nie zdarzyło się, żebyśmy w jednym miejscu stali dwie noce. Raz tak tylko było na święta Bożego narodzenia.

"Rekin" był niewysoki, z wąsikami. Dowódcy plutonu to każda noc z inną drużyną spali. Ja nie widziałem oficera, żeby wleźć do łóżka. Bo to było zakazane. Nikomu nie wolno było położyć się do łóżka. Stara metoda, jak zajmowało się kwaterą: dwa, trzy paczki słomy rozścielało się na podłodze, wszyscy się kładli. Oczywiście nie wolno było się rozbierać. Spaliśmy w mundurach. Jeżeli chciało się wysuszyć buty to tylko jeden można było zdjąć. Po wysuszeniu go i nałożeniu na nogę dopiero wtedy można było zdjąć drugi i wysuszyć go. "Rekin" również każdej nocy nocował z inną drużyną. Z naszą również. To był wesoły chłopak. Opowia-

daliśmy kawały. "Rakin" był ostry, energiczny, ale lubił pożartować. "Burego" chłopaki też się nie bali, tyle, że to był już pewien autorytet. "Bury" nie nocował razem z nami. Miał kwatery. .

Z uzbrojeniem w tym okresie to nie było najlepiej. Jas początkowo miałem kbk niemiecki. Później dostałem jeszcze garłacz i skrzynkę z amunicją, bo byłem amunicyjnym w sekcji. Sekcja liczyła 3 osoby: erkaan, automaś i karabin. Tak było oczywiście po akcji w Sokolach. Jak przyszedłem to już prawie wszyscy byli umundurowani. Ja też dostałem mundur. W tym czasie oddział jeszcze formował się tak więc cały czas przychodzili nowi i nie wszyscy od razu mogli dostać mundury. Trochę taborów już było i na nich były nasze zapasy m.in. mundurów, które tym nowym się wydawało. Mieliśmy wtedy dwie furmanki, którymi opiekował się taki szef. Czasami jak ktoś obtarł nogi i nie mógł maszerować to brał do siebie.

Pamiętam, że w mojej drużynie był "Wrona" z Wileńszczyzny. To był dezertor z wojska. Pamiętam, że był taki "Dimbo" - malutki chłopaczek. Miał 14-15 lat.

Pod Downarami jak otoczyliśmy, bodajże w południe, oddział wojska, który zbierał kontyngenty, to poddali się bez jednego strzału. Słyszałem, że jeden z oficerów wziętych przez nas do niewoli został rozstrzelany, ale nie pamiętam za co.

Nie pamiętam gdzie staliśmy na święta X Bożego Narodzenia. Być może, że była to Słoniarka. Każda drużyna była na swojej kwaterze. Złożyliśmy sobie życzenia, połamaliśmy się opłatkami. Trochę pośpiewaliśmy kolęd. Z tym, że takiego zasiadu przy stole u nas to nie było. Dość smutno było raczej. Może była to wina "Modrzewia". Nie był zbyt towarzyski. Wiecznie spał. Potrafił spać w czasie marszu. Zbyt lubiany przez chłopaków to nie był.

Kiedyś szliśmy drogą i ~~xxxx~~ musieliśmy przejść strumyk. Mostek był zerwany i trzeba było zboczyć trochę do kładki. "Modrzew" jako dowódca drużyny szedł pierwszy i poszedł prosto przez ten strumyk, bo oczywiście spał w czasie marszu a wszyscy chłopcy skręcili i przeszli przez strumyk po kładce. Obudził się po pas w wodzie i potem miał do nas pretensje. A myśmy wiedzieli, że ty śpisz? - tłumaczyli się chłopaki - Jak człowiek idzie to znaczy, że nie śpi. To było jesienią, rzeka nie była jeszcze zamrznięta.

Naświęta "Rekin" przyszedł do nas i podzielił się opłatkami. Był z nim taki czarny chłopak. Przeważnie zawsze z nim chodził. Taki jakby jego adiutant. Złożyli życzenia, trochę posiedzieli z nami. Trochę pośpiewaliśmy razem i poszli dalej. Na pasterkę nie wszyscy pojechali. Ja nie pojechałem. Kto chciał zostać to został. Zostałem bo miałem pobcierane nogi. Zresztą każda chwila odpoczynku była na wagę złota.

Mszy to plaga była. Ten proszek DDT to nam życie uratował. To było straszne, ale jak mogło być inaczej gdy nie rozbieraliśmy się całymi miesiącami. Jak koszulę się zdjęło to ona sama chodziła. Różnie próbowali chłopcy z tym walczyć. Nad ogniskiem trzymali ubranie, ale nic to nie pomagało. Dopiero jak się pojawił zimą ten proszek to już dobrze było.

Do Sokół przyjechaliśmy gdzieś 9-10 wieczorem. Całkowita ciemność. Światła już nie paliły się, bo prawdopodobnie były linie przecięte. Budynek posterunku tonął w ciemnościach. Po cichutku zajęliśmy stanowiska ~~x~~ dookoła budynku i ktoś wezwał ich do poddania się. Ktoś, kto chyba był z "Rekinem". My w tym czasie porobrzucani byliśmy po różnych załomach. Ja skryłem się za schodkami. Zerwała się niesamowita strzelanina. Serie pocisków smugowych idące z posterunku słały się nad ziemią. Jeden od nas

został ranny, ale to nie był ktoś z mojej drużyny. W tym czasie ktoś strzelił z pancerfausta. W budynek czy obok niego, ale huk to był jak z działa. Ja specjalnie strzelać nie mogłem bo leżałem nieco z tyłu i bałem się razić w plecy leżących przede mną. Słyszałem wtedy przez okno - szept na posterunku już nie było - rozmowę między milicjantami czy żołnierzami: Działo podciągają - a to właśnie furmanka nasza podjeżdżała do tego naszego rannego - Poddajemy się, bo rozwalą cały budynek - i zaraz wywiesili białą flagę. Ode mnie do tego posterunku było ze 20-30 m. Wcale nie strzelałem z karabinu bo nie chciałem trafić kolegów.

W tym czasie to już każda drużyna miała ze dwa pancerfausty. Ja miałem na przykład. Po Sokolach zabrali mi go. Dobrze, że się pozbyłem tego bo taką gruchę nosić było niewygodnie, bo przecież całe oporządzenie ważyło ze 30 kg: karabin, amunicja do niego, pancerfaust, do którego nosiło się jeszcze zapalniki, bo pocisk siedział w rurze. Po odpaleniu pocisku pancerfaust był do wyrzucenia.

Pamiętam, że pierwszy strzał z pancerfausta to trafił w jakiś chlewak czy budę, która stała obok posterunku. Żołnierze wyszli przez drzwi z podniesionymi rękami. My tam bardzo grzecznie nie potraktowaliśmy ich. Oficerom to nawet krótką broń pozostawiliśmy. Może dlatego, że to Sylwester był. Broni to sporo było. Dużo erkaemów. Po tej akcji to w drużynie co trzeci miał erkaem: trzy sekcje były w drużynie. Nasi wynosili tę broń i na furmanki układali. Znieśliła się na dwóch furmankach. Potem oddałem ten pancerfaust a dostałem skrzynkę z amunicją i automat. Zostałem amunicyjnym w sekcji. Automat był z podłużnym magazynkiem: PPS.

Downar jakoś nie przypominam sobie. Może dlatego, że nie maxys

- wszystkie drużyny szły na akcję. Pod Hermanami to rozbroiliśmy z 50-ciu żołnierzy. Powymienialiśmy też mundury. Jeśli kto miał cywilne ubranie to oddawał je w zamian za mundur żołnierza. Nie przypominam sobie, żeby była jakaś akcja zatrzymania pociągu. Nic takiego chyba nie było.

Potem poszliśmy na Hajnówkę. W samej Hajnówce wtedy nie byłem bo moja drużyna została na szosie przed miastem z zadaniem za-blokowania dojazdu. Była ciemna noc to nie mogę powiedzieć czy to była szosa na Marewkę czy inny kierunek. Przecięliśmy też linię telefoniczną, która biegła wzdłuż szosy. Cała nasza drużyna "Modrzewia". Tak, że akcję w Hajnówce to tylko z opowiadań znam.

Jeszcze przed pójściem na powiat bielski dołączył do nas "Bury". Gdzie to dokładnie było nie pamiętam. Wiem tylko, że któregoś razu zaczęto mówić, że teraz już "Bury" obejmuje dowodzenie.

Chłopaki opowiadali jak to było w Hajnówce. Tam było chyba dużo Ruskich, bo niektórzy z naszych mieli przypinane do mundurów medale. Był taki pies Jim nie Jim nazywał się. Obwiesili go tymi medalami. Taki ładny wilczur.

Po tej akcji to zaczęli nas mocno ganiać. Jak się stało na warcie to cały czas słychać było tylko warkot samochodów w oddali, ale nie uciekaliśmy. To już za duży oddział był. Jak potem opowiadali to jak w nocy wychodziliśmy z jakiejś wsi to nad ranem już tam byli. Szli ślad w ślad. Podobno te wojsko co za nami jechało, to prosiło chłopów, żeby tak ich prowadziło, żeby nas nie spotkali. Pamiętam, że jak jechaliśmy na Bielsk to był rozkaz, żeby zmienić pseudonimy na nazwiska, tzn. jeśli ktoś miał pseudonim "Wilk" to nazywał się Wilczowski, "Orzeł" to był Orłowski, no a mój pseudonim był "Ster" więc nazywałem się Sterowski.

Jak była ta akcja w Zaleszanych, to moja drużyna nie była tam.

Poszedł tam chyba jeden pluton a może nawet i tylko jedna drużyna. Wszystko zaczęło się gdy już wyszliśmy ze wsi i odeszliśmy jakiś kilometr. Wtedy zobaczyliśmy w końcu. Pożar więc był. Gdy nadeszli ci z tego plutonu, który był we wsi, pytaliśmy się ich co to za pożar. Jeden z nich powiedział, że ktoś tam strzelał, <sup>z naszych</sup> jednego ranili no i wtedy podpálili tę wieś. A myśmy rzeczywiście słyszeli jakieś strzały. Czy to było w Zaleszanych czy gdzie indziej nie pamiętam. Tę akcję to albo robili tylko ochotnicy albo zupełnie inny pluton, bo nasz cały pluton z "Bitnego" wyszedł ze wsi. Wogóle nie przypominam sobie, żeby nasza drużyna wchodziła do jakiegokolwiek wsi, żeby ją podpalić. Pamiętam, że jak kółka patrol pojechał do jakiejś wsi po prowiant to nasza drużyna stała wtedy na obstawie bardzo, bardzo daleko na jakiejś górze i też widzieliśmy, że ta ta wieś zaczęła się palić. Jakaś strzelanina wtedy tam się wywiązała, bo wtedy ci Białorusini mieli przecież pełno broni od UB.

Słyszałem o rozstrzelaniu furmanów w Puchałach, ale dowiedziałem się o tym dopiero potem. O takich rzeczach to raczej nie rozmawiało się. Nasza drużyna nie brała w tym udziału. Stwierdzam to z całą pewnością, że "Modrzew" sam to mógł robić to co innego, bo na niego mówili, że to kat oddziałowy. Moja drużyna nie brała udziału ani w podpálaniu tych wsi ani w rozstrzelaniu tych furmanów.

Przypominam sobie, że w początkach stycznia miało miejsce rozstrzelanie chłopaka w oddziale. Taka publiczna egzekucja. Wyprowadzili wtedy oddział za wieś, ustawili w czworobok, w jednym szeregu, odczytali wyrok i wykonali go. Chłopak ubrany był w cywilny ubranie. Nie był z naszego oddziału. Zupełnie go nie znałem, bo chłopaków z oddziału to raczej mniej więcej się znało. To był dość przykry wypadek. Ten chłopak stanął nad grobem i ter

co do niego strzelał to też był nie z naszego oddziału, bo tę twarz widziałem po raz pierwszy. Ubrany był w czarny, długi kożuch. To był całkiem nieznanym. Raz mu chyba tylko zaciął się pistolet. Najpierw chciał strzelać z automatu, ale "Bury" powiedział: Nie, z krótkiej. Raz mu się zaciął a za drugim razem chyba strzelił. Potem chłopcy mówili, że to musiał być ktoś obcy, bo żaden z nas chyba by się nie odważył takiej egzekucji dokonać, bo na drugi dzień chyba już by nie żył.

Nigdy nie słyszałem, żeby ~~xxxxxxx~~ "Bury" strzelał do butelki z wódką, gdy kogoś przyłapał na picciu. Wogóle nie słyszałem o takim wypadku. Nie wiem czy to prawda. Nie słyszałem, żeby jakiś dowódca straszył pistoletem. Oni przecież sami dla własnego dobra obawiali się wypić. Natomiast wiem, że za zaśnięcie na warcie groziła kara śmierci. Oczywiście za pijaństwo również. Na warcie stało się 2 godziny i było 4 godziny odpoczynku. To męczące strasznie było. Nie widziałem, żeby ktoś był karany chłostą. Jak była kara to w zasadzie ograniczała się do dodatkowej służby wartowniczej. Bicia to ja nie widziałem.

Potem pojechaliśmy na Prusy. Zima była w pełni. Pamiętam, że "Rekin" to chodził jakiś czas w takiej kozackiej kuczynie. Noclegów to było sporo na tych Prusach. Dopadli nas pod Orłowem, w jakiejś wsi. Przyjechaliśmy nad ranem. Przespaliśmy się może ze dwie godziny i (może więcej) i około 12-tej "Rekin" zabrał dwie czy trzy drużyny, w tym i moją i pojechaliśmy na patrol. Było jeszcze cicho dookoła. Spokój. Wyjechaliśmy na wzgórze. U jego stóp biegła szosa, a na niej stał rząd samochodów i zaczęli do nas strzelać. To było ruskie wojsko. Zalegliśmy na tym wzgórzu. Jeden z nas, chyba "Ryś" (może "Ryszard" z Długoleki) dostał w żołądek. Ściągnęli go na płaszczu z tego wzgórza i wrzucili na jedną z furmanek, na których przyjechaliśmy. Odskoczy-

liśny stamtąd. Walka trwała ponad godzinę. Nie atakowali nas od frontu, nie podchodzili pod górę, tylko próbowali obejść z boku, dlatego musieliśmy wycofać się. Wtedy mieliśmy chyba ze 4-ech rannych, których umieściliśmy na jednej furze. Potem gdzieś w jakiejś wsi chyba zostali na melinie. Ci co byli z "Rekinen" to chyba wszyscy byli z X plutonu "Bitnego", chociaż może i były to łączone grupy. Nie pamiętam dokładnie. Z tym rannym "Rysiem" to dlatego mi tak utkwilo w pamięci, bo ~~xxxx~~ przed samym wyjazdem na ten patrol rozmawialiśmy o jakiejś bitwie, gdzie byli ranni i ten "Ryś" powiedział: Pamiętajcie chłopcy, żeby rannych ze sobą zabierać. - Nie trwało godzinę i już był ranny. Czy się z tego wykaraskał to nie wiem.

Niedaleko od tej góry był las i tam się wycofaliśmy z tymi naszymi furami, których mieliśmy 6 albo więcej. Dni nas nie ścigali. Oczywiście słyszeliśmy, że w wsi też toczy się walka. Mieliśmy tylko 4-ech rannych, którzy jechali na jednej furze. Nie mieliśmy żadnego zabitego. Chyba następnego dnia na jakiejś drodze spotkaliśmy grupę "Burego". Były jakieś krzyki, o mało co nie doszło do strzelaniny, ale jakoś w końcu jakoś się dogadali. Wszyscy się ucieszyli, bo już była nas większa grupa. Z jedzeniem cały czas różowo nie było, ale wtedy to już wyjątkowo kiepsko było. ~~xxx~~

Gdy wróciliśmy na nasze tereny ~~xx gm xx~~ - chyba po trzech dniach to nastąpiło - mocno nas ganiali, bo bez przerwy alarm, bez przerwy alarm i "Bury" w końcu postanowił ~~xxxxixxxx~~ zmniejszyć oddział, bo część rozpuścił. Ogłosił, że kto chce może iść do domu. Duża grupa wtedy odeszła. Oczywiście nikt nie był w dobrym humorze, bo przecież wpcili w nas, że jesteśmy takim silnym oddziałem: za takim oddziałem to całą Polskę mogą przejść wszędzie i wzdłuż - ~~xxxxxxx~~ i nikt mnie nie zatrzyma

- mówił "Bury" i okazało się to nieprawdą. Wiem, że kilku zabitych było, ale kto i co to trudno było się dowiedzieć.

Gdy "Bury" rozpuszczał oddział na meliny to ja jeszcze zostałem się. Jeszcze w wczesniej, gdy wracaliśmy z tych Prus to jakiś oddział ostrzelał nas. Później dowiedzieliśmy się, że to jakaś grupa samoobrony miejscowej. No i wtedy, gdy była ciemna noc, w czasie marszu ja z pięcioro kolegami zgubiliśmy się. Szliśmy całą noc, a gdzieś w lesie przesiedzieliśmy cały dzień i chyba cały dzień następny to gdzieś kluczyliśmy bo baliśmy się zachodzić do wsi, aż w końcu zobaczyliśmy kościółek. Weszliśmy do domku na kolonii. Tam zostawiliśmy broń i mundury i każdy na własną ręką poszedł do domu. Ja poszedłem do "Gryfa". Myśmy zgubili się gdzieś jakie dwa tygodnie. Po rozpuszczeniu oddziału przez "Burego" to odeszło z niego połowa ludzi. Zresztą nie wiadomo było w wielu wypadkach czy ktoś jest zabity czy zaginiony.

W domu być nie mogłem, tułać się sam nie chciałem to już wolałem jakąś opiekę mieć. Poszukałem więc jej u "Gryfa". Inaczej sam nie mógłbym się poruszać bo i swoi mogliby mnie rozwalić. Niedługo potem wrócił i kł "Lot", dołączył do mnie i najczęściej to razem ukrywaliśmy się. Do "Gryfa" to poszedłem do Babina i tam nawiązałem z nim kontakt. "Lot" też był u niego. Już u niego żadnych akcji nie przeprowadzaliśmy, tylko ukrywaliśmy się. Raz wybraliśmy się samochodem na Tykocin to samochód zepsuł się i musieliśmy zawrócić.

Gdzieś koło Poświętnego spotkaliśmy konnicę "Burego". I wtedy jak raz trafiliśmy na obławę. O mało nas wtedy nie załatwili. Nie wiem jakim cudem udało nam się wydostać z tego kotła. To było w dzień. Wtedy już nie było ani "Rekina" ani "Burego". "Szczygieł" dowodził tą konnicą.

Na jesieni zostałem ranny. Swój przez nieuwagę mnie postre-

lił mnie w nogę. Kula strzaskała mi całą kość. To było na kwaterze. Zawieźli mnie do Białogostoku do szpitala kolejowego koło kościoła Rocha. Dali mi lewe dokumenty. Nazywałem się Zygmunt Sokół. Było to jednak niebezpieczne, bo rana postrzałowa, to zaraz wszyscy interesują się. Wszyscy lekarze wiedzieli no i pewnie pielęgniarki, może nie wszystkie ale ta bo mi zmieniała opatrunki to na pewno. Po czym poznałem, że wiedzą? Któregoś razu na korytarzu pojawiło się wojsko, a wtedy lekarz po cichu zwrócił się do siostry: Siostro, proszę zamknąć drzwi - chodziło o drzwi do mojej sali. Leżałem wtedy na wyciągu kompletnie unieruchomiony z tą nogą w gipsie, który sięgał mi pach. Taki jeden lekarz był, który przynosił mi penicylinę. To wtedy był bardzo drogi lek. Nigdzie nie można go było dostać. To właśnie ta penicylina uratowała mi życie. I ten lekarz, który w szpitalu miał aptekę przychodził do mnie i wkładał do szafki fiolki z penicyliną: Powiedz, że ci z domu przynieśli - mówił. Operował mnie doktor Miwiński, oczywiście bez znieczulenia, bo wtedy czegoś takiego nie było. Był chyba dyrektorem szpitala. Chyba nawet nie zemdląłem wtedy.

Trzy miesiące leżałem w szpitalu. Potem przeniesiono mnie na prywatną kwaterę w Białymstoku. Jednak gdy zdjęto mi gips, to nie mogłem chodzić taki słaby byłem. Jak posadzili mnie to zemdląłem, tak, że na tej kwaterze leżałem jeszcze ze dwa miesiące. To wszystko przeciągnęło się chyba do kwietnia, do ujawnienia, bo pojechałem do domu tylko po to, żeby razem z grupą się ujawnić. Do Babina pojechałem. Chłopaków było wtedy kilku. Jak jechaliśmy do Białogostoku to postrzelaliśmy sobie po drodze, bo przecież trzeba było wystrzelać tę amunicję. Pojechaliśmy na Warszawską. Karty ujawnienia nam wypisali i do domu. Z tego, że byłem w oddziale "Burego" to też ujawniłem się, bo co tu było ukrywać.

Zaraz po tym poszedłem do szkoły i jakoś nie wnieszałem się w żadną historię. Zreksztą i nie chciałem. Z daleka stroniłem od tego. Jak już pracowałem to od czasu do czasu odwiedzali mnie w pracy do personalnego. Oczywiście nigdy nie mogłem zająć jakiegось lepszego stanowiska, bo zawsze ktoś czuwał.

Przypominam sobie, że jak pewnego razu byliśmy z "Gryfem" u płk. "Błękity" to spotkałem tam po raz pierwszy od odejścia z oddziału por. "Rekina". Staliśmy wtedy w kilku w kółeczku przed domem. "Rekin", był chyba jeszcze z kimś, podszedł do nas, rozejrzał się i wszystkich nas poznał i pseudonimy nasze pamiętał. To było albo w Targoniach albo koło Targów gdzieś na kolonii. Jakoś nie spotkaliśmy się nigdy z "Wiarusem" czy "Ciemnym". "Wiarus" - "Szalony" to dosyć późno ~~by~~ przyszedł do "Burego", niedługo przed Prusami. Jego brat też był u "Burego". Był starszy od "Wiarusa". Pamiętam, że w czasie tej strzelaniny pod Orłowem to śpiewał. Nie wiem czy ze strachu, ale to był odważny chłopak.

Jak przyjechałem tutaj ze Stanisławowa to miałem 11 lat, bo jestem z 1928 r. Jak Rosjanie weszli do miasta - bo przecież Niemców u nas nie było, wogóle to było spokojne miasto, wojna toczyła się daleko - to co się działo, jak zaczęli wszystko ze sklepów wykupywać. Za trzy dni już wszystkie sklepy były pozamykane. Mój ojciec był 19 lat w wojsku w 6 DAK-u w Stanisławowie. 3 października dostał się do niewoli sowieckiej. Jakoś wtedy wyszło zarządzenie, żeby wszystkich pochodzących z terenów zajętych przez Ruskich zwolnić na głosowanie i ojciec miał szczęście, że trafił właśnie do takiej grupy. Dostali jeden dzień na przedawnej kroczenie granicy (przedwojennej) polsko-sowieckiej. Jeśliby w tym czasie nie przekroczyli jej to z powrotem mieli zabierać do obozu. To jak ojciec opowiadał, to wszystko szło wtedy, chorzy nie chorzy, aby tylko przejść granicę. Gdy ojciec wrócił do Sta-

niskawowa, to wyrzucili nas z domu, bo zajęli go ruscy oficerowie. Część rzeczy rodzice jakoś wynieśli z mieszkania. Ulokowali po znajomych. Nie mieliśmy gdzie się podziać i postanowili włączyć w rodzinne strony ojca do Żółtek. Część bagażu nadali na bagaż i tak przyjechaliśmy. Zamieszkaliśmy w domu letniskowym w ~~Żółtkach~~ Dzikich. Bagaż nadany na pocztę przepadł. Tak, że przyjechaliśmy tak jak staliśmy.

Mrozy były wtedy do 40 stopni a my mieliśmy tylko żelazny piec. Ojciec nie spał w domu tylko w stodole, bo przecież w nocy jeździli po wioskach i wyciągali z domów. Tak aresztowali np. matkę Słka Markowskiego. On uciekł a matkę załadowali na samochód i wywieźli. To był straszny okres dla Polaków. Wszyscy mężczyźni chowali się, spali po stodołach a co noc było słychać warkot tych samochodów. Łapali ludzi.

Markowską zabrali zimą 1940 r. Jej mąż był w szpitalu kierownikiem gospodarczym. Myślał, że jeszcze miesiąc, dwa i mój ojciec też by się nie utrzymał. To była tylko kwestia dni. Nasza kolonia należała do wsi Żółtki. Tam był bardzo dobry sołtys, tzw. przedsiębiorca. Bez przerwy do niego przyjeżdżali i kazali: Dawaj wrogów. Mimo to żadnej rodziny z tej wsi nie wywieźli. Ze Niemców też. Chyba umiał łagodzić te wszystkie sytuacje.

W tym osiedlu domów letniskowych to mieszkali Żydzi. Nawet w naszy też. Masa ich była. \* Z Warszawy, Łodzi. Bogatych tu raczej nie było bo ci to w Białymstoku pousadzkali się. Tu to biedotę spędzili. W jakich oni warunkach tę zimą przeżyli. Ja chodziłem do jednej rodziny po sąsiedzku, to ci byli nieco zaможniejsi, bo trochę słomy kupili - mieli trochę pieniędzy. Pokój u nich to był oszroniony, bo jak słomę przytknął do ściany to zaraz przymarzała. To cały ten pokój był w wyłożony tą słomą. Jakoś przekoczowali tę zimą. Oczywiście na rozpałkę to szło wszys

stko co pod rękę popadło: deski, płoty, sęki. Jeden taki Żydek przychodził do mego ojca podyskutować i opowiadał, że zrobili im zebranie i kazali się zapisywać na listę, kto chce zostać w Białymstoku, kto chce wyjechać do Związku Radzieckiego i kto chce wrócić do Warszawy. Najwięcej to zapisało się na wyjazd z powrotem pod okupację niemiecką. Pewnie nie zdawali sobie sprawy z tego i co im grozi. Sporo zapisało się, że chce zostać na miejscu a najmniej chciało jechać do Związku Radzieckiego. No i ten Żydek mówi do jego ojca: Ja jadę do Związku Radzieckiego. - Niech pan się zastanowi, przecież takie mrozy - tłumaczył mu ojciec - ~~żaki~~ a pan z małymi dziećmi (to było młode małżeństwo niemowlę mieli) - ale nic z tego. Też Żydek mówi, że on jest komunistą a jego ojciec to był uczony, czytał Biblię, przepowiednie, że tu dla Żydów będzie koniec. No i on pojechał ze swoją rodziną. A gdzieś na wiosnę wszystkich załadowali na samochody i wywieźli. A już w sierpniu, żniwa były, to niektórzy byli spowrotem. Potrafili wrócić. Jeden opowiadał, że gdzieś na Uralu w kopalni był i uciekł stamtąd.

Jak przyjechaliśmy w 1939 do Żółtek to poszedłem do szkoły w Choroszocy. Wtedy powinienem być być w piątej klasie ale nas wszystkich cofnęli o jeden rok i poszedłem do 4-tej klasy. To też była tragedia bo chodziliśmy do szkoły na 6-tą a u nich to była 8 godzina. \* Po maskowskomu. To dzieci takie z Dzikich musiały chodzić o 5-tej rano tyle kilometrów. A jeszcze na drodze stał wartownik i nie puszczal, tak że w nie można było przejechać koło niego. Trzeba było obchodzić polem. \*\* W 4-tej klasie wprowadzili nam białoruski i niemiecki. Na drugi rok już nic nie było bo wojna.

Jak Ruscy uciekając w 1941 r. zestrzelili niemiecki samolot to ja z Mietkiem Trypuzem pierwszy przy nim byłem. Spaliśmy wtedy

na łosie i samolot ten spadł niedaleko nas. Leciał z bombami. Ich wybuchy porozrywały go na strzępy. Zarył się dziobem w ziemię. Jeden z pilotów wyskoczył na spadochronie, ale stworzyli do niego taki ogień że jak do tego samolotu. Widać było, gdy opadał na spadochronie, że dostał, bo nagle zwióchał. Natomiast pozostali trzej, którzy nie wyskoczyli, to byli straszliwie znasakrowani. Z kabury jednego z nich wyciągnęliśmy parabelkę. Ruskie przyszli, popatrzyli na to i poszli.

Przez długi czas po ucieczce Sowietów buszowaliśmy w ich koszarach w Nowosiólkach. A kto tam nie buszował. To były piękne bloki. Nie wiem jak to można było pozwolić, żeby dzisiaj były takie zniszczone. To było wspaniałe miasteczko. Taki blok kuchenne-mieszkalny to był piękny. Taki czworobok: kuchnia, stółki. Piętrowe bloki. Piwnice były potężne. Stały tam setki beczek z kapustą, ogórkami, pomidorami. Ludzie wytaczali te beczki denka wywalali i wyrzucali zawartość, żeby zabrać beczki.

Tę parabelkę to miał kolega. I on ją schował, ale pokazał dla starszego brata i któregoś razu ten pistolet mu zginął. Pewnie jego brat zabrał, bo był już w konspiracji.

Jak Niemcy weszli to było raczej spokojnie. Wojska w Dzikich specjalnie nie było. I my wtedy znaleźliśmy gdzieś erkaem. Poszliśmy więc po niego, żeby go przynieść. Rozegraliśmy go na części ale mnie to było najgorzej bo miałem lufę. Ukryłem ją w nogawce. W ten sposób byłem kulawy. \* Weszliśmy do wsi a tu pełno wojska. Krank? - spytał się mnie Niemiec. Weszliśmy jakoś do stodoły, wszystko szybko to schowaliśmy w siano, ale ja wychodzę ze stodoły i dalej kuleję, bo myślę, że jak ten Niemiec mnie zobaczy to zdziwi się, że od razu wyzdrowiałem.

Do organizacji wstąpiłem w lutym 1943 r.

Ja z wojskiem byłem zżyty od najmłodszych lat, mieszkaliśmy

przecież w koszarach. Ja to cywila się bałem. Myśmy mieszkali przy trakcie z Osinej woli. Jak nasze wojsko wycofywało się tym traktem na Rumunię to wszyscy jechali z bronią gotową do strzału. Dziwiło to nas. Nie wiedzieliśmy dlaczego tak się zachowywali, a to już ich atakowali Ukraińcy. Jak tylko ktoś - nie daj Boże - odbił się, to przepadł. Cała nasza rodzina tam pożą nasza wyjeździe została. Wyjechali potem do Legnicy, Wrocławia. To opowiadali, że zaczęły się aresztowania.

Spisał Jerzy Kułak.